

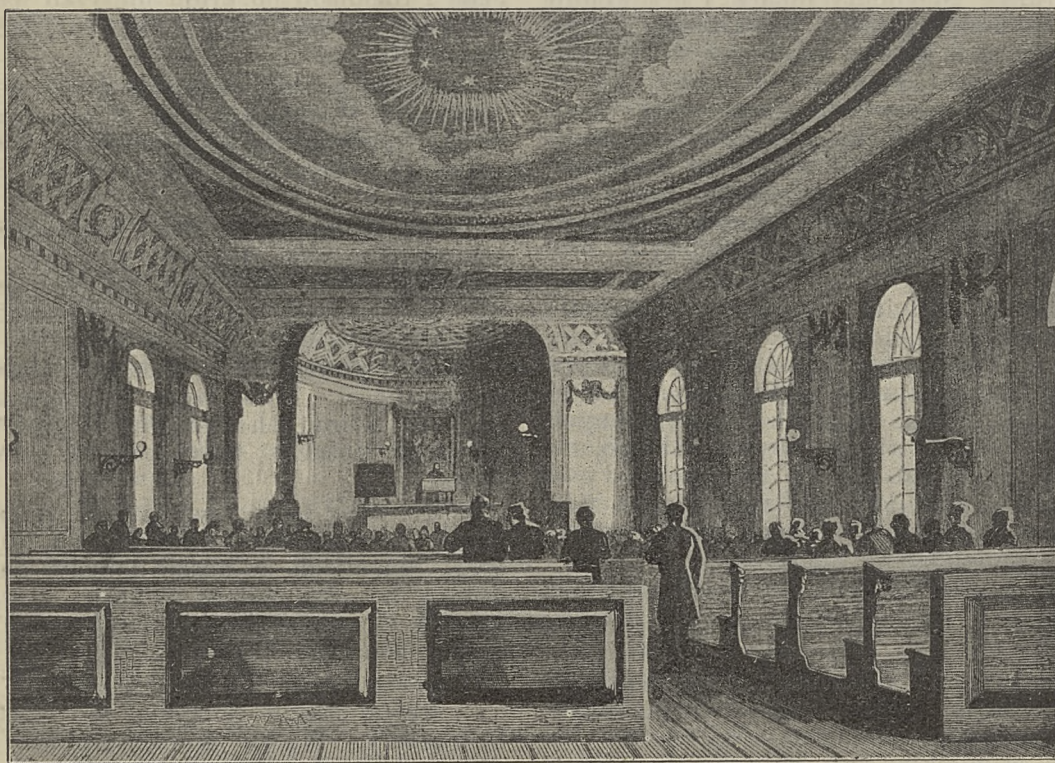


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Z dziejów cywilizacji.



Aula byłej Szkoły Głównej w Warszawie.

Szkoła Główna.

(1862 — 1869).

Każdy powinien się starać, aby w ogólnym wykształceniu, jak i w swojej specjalnej umiejętności czy zawodzie, dojść do możliwej doskonałości; jest to konieczny warunek postępu. Nie wątpimy, że niema zdolniejszego chłopaka, rozpoczynającego szkołę średnią, który nie marzy o tem, że zdoła przejść do uni-

wersytetu lub innego wyższego zakładu, że może wielkim stanie się uczonym i naukę naprzód posunie. Piękne to marzenie i szlachetna ambicja, lecz dla ich spełnienia — oprócz zdolności, pracy i wytrwałości uczących się, koniecznem jest także istnienie odpowiednich wyższych uczelni, wszechnic, uniwersytetów i t. p. szkół wyższych. Dla tego zdawien dawna we wszystkich krajach panuje nie tylko wielka dbałość o urządzanie takich wyższych zakładów naukowych, ale zarazem przechowuje się ze czcią i uznaniem pamięć tych, które istniały i swoje zadanie dla rozwoju nauki godnie i chlubnie spełniły.

Nasze konkursy p. str. 207.

Właśnie dnia 6 czerwca r. b. odbył się w Warszawie zjazd wychowawców byłej Szkoły Głównej warszawskiej, która istniała od roku 1862 do 1869 t. j. aż do zastąpienia jej przez istniejący obecnie Cesarzski uniwersytet warszawski.

Warszawa nie posiadała w pierwszej połowie XIX wieku wyższego zakładu naukowego stale. Od r. 1817 do 1831 istniał uniwersytet, ale w następnym trzydziestoletnim okresie były tylko gimnazja. Dopiero w r. 1857 Cesarz Aleksander II zatwierdził ustawę Akademii medycy-chirurgicznej dla kształcenia lekarzy, a w pięć lat potem, dzięki staraniom margrabiego Aleksandra Wielopolskiego i Kazimierza Krzywickiego—ustawę Szkoły Głównej.

Szkoła Główna posiadała 4 wydziały: lekarski, z kursem 5-o letnim (dawna akademii z 1857 r.), filologiczny, historyczny, matematyczno-fizyczny i prawny z kursem 4-o letnim. Dwa pierwsze wydziały mieściły się w gmachu akademii medycznej, koło pomnika Kopernika, dwa drugie w pawilonie prawym obecnego uniwersytetu, wychodzącym na ulicę Obozną.

Uroczyste otwarcie Szkoły Głównej nastąpiło 25 listopada 1862 r. i dnia tego rozpoczęły się wykłady.

W ciągu siedmioletniego istnienia swego, szkoła liczyła około 1000 studentów rocznie. Rektorem był dr. Józef Mianowski, znakomity lekarz i przewodnik młodzieży, cieszący się ogólnym poważaniem i przywiązaniem, o którym niedawno pisaliśmy w „Wieczorach,” a wśród profesorów uczeni tej miary, jak dr. Chałubiński, Hirszfild, Girsztowt, Baranowski, Kosińscy — lekarze; prof. Dutkiewicz, Wołowski, Holewiński, Popiel — prawnicy, prof. Frąckiewicz, Prażmowski, Natanson, Dybowski, Aleksandrowicz, Jurkiewicz matematycy i przyrodnicy; prof. Struwe, Pawiński, Plebański, Wolfram — filozofowie i historycy oraz wielu innych.

Szkoła Główna spełniła godnie swoje zadanie, wpłynęła na rozwój nauki i oświaty, zarazem na charakter swych wychowawców. Z pod jej skrzydeł wyszło pokolenie ludzi gruntownie wykształconych w różnych dziedzinach nauki, zacnych i pożytecznych, przejętych poczuciem obowiązku obywatelskiego, miłości dla nauki i społeczeństwa. Z ich grona wyszli też najznakomitsi pisarze doby obecnej, Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus i kilku innych, którzy rzucili nowy blask na piśmiennictwo nasze.

Na dzień oznaczony zjechało się sześciuset z górą wnych studentów, t. j. trzy czwarte prawie pozostałych przy życiu.

Zjazd rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w kościele św. Jana, po którym przemówił podniosłymi słowami ks. kanonik Chełmicki. Wieczorem zaś odbył się obiad w wielkiej sali Filharmonii. Wśród krzewów i drzew rozstawiono 26 stołów na 24 osoby każdy i przy każdym z nich siedział jeden profesor; jeden z gospodarzy zjazdu. Nastrój był serdeczny i rzewny, a wielu kolegów po latach 35, po raz pierwszy dopiero spotkali się wzajemnie. Z szeregu licznych a pełnych krasomówstwa i podniosłych myśli przemówień, przytoczymy powitalną mowę *Henryka Sienkiewicza*.

Mowa Henryka Sienkiewicza.

— Czcigodni profesorowie i szanowni koledzy!

Powierzono mi zaszczytny obowiązek powitania uczestników tego pamiątkowego zjazdu. Pamiątkowy on jest zaiste, bo przywodzi nam na pamięć nie tylko nasze młode lata, ale i tę ważną chwilę w naszych dziejach, w której po długiej przerwie otwarty został taki właśnie wyższy przybytek naukowy, jakiego gołądo pożądało całe społeczeństwo. Miał on zaświecić, jak gwiazda, nad całym krajem, miał rzucić

jasne promienie wiedzy w najodleglejsze krańce tej ziemi, miał wytworzyć ludzi nauki i światłych obywateli, miał podnieść poziom naszej kultury i uszlachetnić, a zarazem pogłębić myśl narodową.

Więc pogarnęliśmy się tłumnie do tej naszej Szkoły Głównej. Z miłością witani przez Was, czcigodni nasi przewodnicy, odpłaciliśmy wam równie gorącym sercem.

Krótkie było istnienie tej naszej Szkoły, ale też śmiało można powiedzieć, że mało który w świecie uniwersytet mógł się pochlubić takim stosunkiem przewodników do młodzieży.

Częstokroć bywają to dwa obozy, my zaś stanowiliśmy jeden, a stało się tak dlatego, że mieliśmy głębokie poczucie jedności naszych celów i ideałów, i że czuliśmy najmocniej tożsamość naszych dusz.

Tkwiła w nas nieograniczona do Was ufność, a na takiej glebie łatwo wyrasta miłość, łatwo zgoda, łatwo zapał, łatwo praca. Więc z miłością, w zgodzie, z zapałem wzięliśmy się do pracy dla dobra społecznego i dla przyszłości. I oto po czterech latach mogliście, czcigodni panowie, powiedzieć już społeczeństwu: „Plon niesiemy, plon” Z pod Waszego przewodnictwa wyrosło pierwsze pokolenie ludzi, które zajęło opróżnione dotychczas stanowisko społeczne i rozniosło po kraju nie tylko wiedzę zawodową, ale i wyższe poglądy, szlachetniejsze porywy, głębsze myśli.

Odtąd co rok wypuszczaliście nowe zastępy posłanników Waszego ducha, ci zaś nieśli światło w pomrokę, podwójnie błogosławione, bo i takie, które rozjaśnia umysły, i takie, które rozgrzewa serca ludzkie.

Więc, gdy po upływie kilku dziesiątków lat po stanowiliśmy raz jeszcze policzyć się, raz jeszcze spojrzeć sobie w twarz, raz jeszcze wzajem się sobie przypomnieć, słuszną i sprawiedliwą rzeczą jest, abyśmy rozpoczęli to zebranie od wyrażenia wam, czcigodni profesorowie, naszej wielkiej i niewygasłej wdzięczności. Taka była najpierwsza myśl wszystkich tu zebranych uczniów Szkoły Głównej, i takie pierwsze uczucie, którego jestem w tej chwili wyrazem.

To Wam się od nas należy, albowiem winniśmy Wam wdzięczność nie tylko za te ziarna nauki, które rzucaliście w nasze umysły, ale i za ową zasadniczą, wysoką miłość ideałów, którą wszczepiliście nam w duszę, a dzięki której żaden z Waszych wychowawców nie przeszedł nigdy tej granicy, po którą rozpoczyna się od tych ideałów odstępstwo.

Kształciliście rozумы, ale kształciliście także charaktery. Wasza główna zasługa to ten ogromny zastęp cichych pracowników, którzy w ciężkich nie raz warunkach życia wraz z umysłowym podnosili zarazem i moralny poziom społeczeństwa, a pracując wytrwale, lubo bez rozgłosu i sławy — ni dla chwały, ni dla żadnych innych korzyści nie sprzeniewierzyli się duszy powszechnej.

Ten cichy a niewzruszony, jak skała, zastęp Wyście stworzyli. I cześć należy się Wam za to nie tylko nasza, ale powszechna.

A teraz patrzcie: szron ubielił włosy i Waszych uczniów. Różne były ich losy i różna dola. Po tylu latach ubiegłych niejednemu może często przychodzi na myśl wiersz naszego wieszczka.

Polaty się łyzy me czyste, rześiste,
Na me dzieciństwo, sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męzki, wiek kłeski;
Polaty się łyzy me czyste, rześiste..

Ale klęski i zawody męskiego wieku, ale te łyzy ugasiły w nas jednak pamięci, że pierwszym obowiązkiem naszym jest przekazać to, co odziedziczyliśmy po Was, przyszłym pokoleniom, jako najszlachetniejszą i najświętszą puściznę.

Więc za tę naukową pracę, tak owocną, za ten wielki trud obywatelski, cześć Wam wszystkim!

Cześć pierwszemu przewodnikowi Szkoły Głównej, którego wspomnienie pozostanie nam na zawsze drogą!

Cześć pamięci zmarłych i cześć tym, których mamy jeszcze szczęście oglądać na tym zjeździe! Nasi profesorowie Szkoły Głównej niech żyją!

* * *

Zjazd zakończył się zacnym uczynkiem, uczestnicy bowiem złożyli 7,000 r. na rzecz kasy imienia byłego rektora Mianowskiego, której zadaniem jest wydawanie dzieł naukowych i ułatwianie studiów młodemu uczonemu.

BŁĘKITNA WSTĘGA.

Powieść z XVI wieku

przez Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).



Co robisz? — spytał Balagny.

— Ratuję z ognia księżniczkę! — odrzekł malarz, otrząsając sparzoną rękę.

— Prawdziwy z ciebie *grue*! (głupiec) syknął książę.

Potem spojrzawszy z niechęcią na dogasające szczątki portretu, syknął:

— Dziwnie rycerski naród, nawet taki głupiec narazi się na spalenie ręki, byleby portret damy ratować!

— Spal resztę! — krzyknął.

— Miłościwy książę, tylko część sukni spalona, głowa tak mało uszkodzona...

— Spal ją! — wrzasnął po raz wtóry Balagny.

Jacek posłuszny zawsze żądaniom nowego pana, na którego łaski pragnął zasłużyć, na ten raz ociągał się jakoś.

Żał mu było swej pracy; zbudził się w nim artysta, wychylając się z za chciwości popychającej go do zrobienia kariery.

Spostrzegł to Balagny.

— Zapłaciłem ci za ten malunek, płacę po raz drugi! — zawołał, rzucając kilkanaście sztuk złota.

Jacek nie wiedział, co robić. Złoto rozsypało się u nóg jego, świecąc nęcącym blaskiem, walczyło z błękitnawym światłem palących się w kominku polan.

Jacek spojrzał na nie pożądlivem wzrokiem. Po jego twarzy wydłużonej przemknęło coś nakształt wahania. Chciwiec walczył z artystą.

— W ogień z tą szmatą, lub zabieram pieniądze! — krzyknął Balagny.

Artysta się ukrył, chciwiec w całej swej ohydzie wychylił głowę. Jacek wrzucił niedopalone płótno w ogień i skrzętnie zbierał rozrzucone złoto. Twarz jego przed chwilą zdradzająca pewną walkę, przybrała wstrętny wyraz.

Balagny patrzył przez chwilę na niego i myślał.

— Co za mieszanina w tym narodzie, rycerze poświęcający bez namysłu swe życie, jak tamten... — i pomimowoli ruszył ręką, w którą nie tak dawno pocisk od Jagmuntą otrzymał — lub tacy oto! — do-

dał z pewną pogardą, spoglądając na zajętego zbieraniem złota Jacka. — I kobiety też osobliwe, nawet niedorostki; nie złudził ją blask dworu ni jego uciechy, ni honory, ni hołdy... — myślał dalej. — Dziwny, dziwny naród — szepnął półgłosem.

Jacek zebrawszy skrzętnie złoto, widząc, że Balagny na niego nie zwraca uwagi i zdaje się zapominać o jego obecności, wysunął się na palcach z komnaty, spoglądając wszakże pilnie, czy jeszcze gdzie nie potoczył się jaki pieniądz. A w kominku stos biało-sinego popiołu z migającymi jeszcze gdzieś gdzie purpurowymi iskierkami odznaczał się od opalonych polan.

Zofka zaś o ile dawniej garnęła się do zabaw i wszelkie uciechy rada byłaby pić pełnemi ustami, o tyle od owego smutnego, oko w oko z Balagnym spotkania zrobiła się cicha, spokojna, miłosiernym uczynkom oddana, a długie godziny u stóp królowny wraz z Kornelką przepędzająca.

To też gdy po nieszczęśliwym turnieju Anna wraz z całym dworem wybierała się do wyjazdu z Krakowa, Zofka z radością wieść tę powitała.

Mniej radośnie powitała ją Kornelka, z prawdziwym zaś smutkiem przyjął ją Jagmunt, księżę Holszański bowiem powierzywszy raz opiece królowny swą jedynaczkę, jakkolwiek z żalem i westchnieniem na nią spoglądał, zostawał wszakże z całym dworem w Krakowie. Mówił też do tonącej we łzach żony:

— Uspokój się, duszo — córka, wiadomo, czy tak, czy siak zawsze w dom obcy idzie, a może ten jaki sobie obrała, większe jej niż inny szczęście przyniesie.

Lecz *dusza* jeszcze głębszem westchnieniem i jeszcze rzewniejszymi łzami odpowiadała.

Królowna zaś, ta umiłowana infantka, od chwili owego krwawego turnieju, żyła w zapomnieniu i niedostatku.

Najgorliwsi nawet jej przyjaciele tak zajęci byli rozgrywającymi się wypadkami i niepewną w tej chwili przyszłością rzeczypospolitej pod rządami nowego króla, iż o królownie prawie zupełnie zapomnieli.

— Ciężkie chwile Bóg na mnie zesłał, ale i Rzeczpospolita nie doznaje rozkoszy — wzdychała ze smutkiem Anna. Nie wypadać wszakże córce Jagiellonów drugorzędne miejsce zajmować — mówiła, opuszczając Kraków ze skromnym swoim dworem.

I odtąd przemieszkiwała to w Płocku, to w Łomży. Wszędzie zaś pobyt swój fundacją dobroczynnego zakładu zaznaczała, w czym jej dzielnie księżniczka Holszańska dopomagała.

— W jednym z tych zakładów osiadę — mówiła stanowczym swoim, lecz wielce złagodniałym głosem.

— To i ja chyba z tobą... — odpowiedziała Kornelka.

— Ty? a zawiązka błękitna, którą jak relikwie nosi Jagmunt? — żartowała Zofka.

Wtedy Kornelka kryła na jej piersiach główkę, a obejmując wpół, mówiła swoje ulubione:

— Mojaś ty, mojaś ty!

I mimo powagi, jaką czasem przybierała, śmiechem swym i pustotą rozweselała dwór cały i miłującą ją zawsze królownę. A dwór ten stawał się coraz skromniejszy.

Skarb wyczerpany na wspaniałości koronacyjne, nie mógł wypłacać sum przynależnych infantce, do chody z ziem, które pobierała, nie zawsze ją dochodziły, słowem, brak się czuć dawał na każdym kroku.

Były chwile, że klejnoty i srebra zastawiała na codzienne potrzeby.

— Brak nam wszystkiego, a miłościwa pani coraz więcej sierot koło siebie gromadzi i rozmaite fundacye wznosi — skarżyła się pani Widulowa, pisząc do księżny Holszańskiej.

Po takiej skardze zwykle zakład dobroczynny, utrzymywany przez królową, suto przez kniazia Holszańskiego opatrywany bywał.

Panowanie zaś Henryka, jak rozpoczęło się pod złą wróżbą, tak i dalej niefortunie się rozwijało.

Król nie znał naszych zwyczajów jako i narodu, którym miał rządzić. Wyniósłszy zaś z Francji dążności despotyczne, pragnął je do nas wprowadzić.

Te jego dążności popierali głównie Zborowscy, chcąc sobie jak największe znaczenie przy tronie zapewnić.

Lecz stronnictwo przeciwne, z Janem Zamoyskim na czele, innego pragnęło pana.

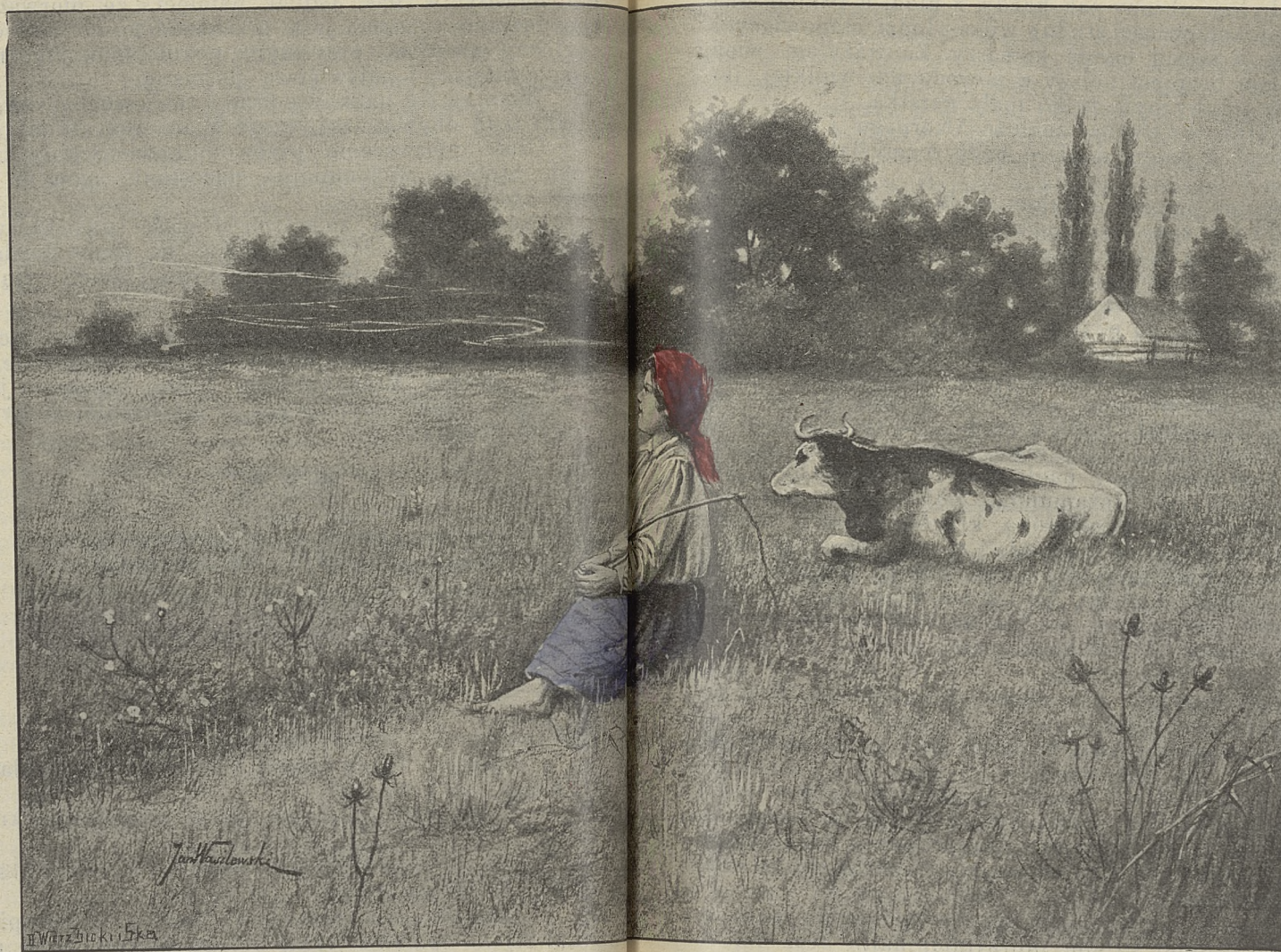
Jan Zamoyski, uczeń akademii Bonońskiej, ciekaw wielkiego umysłu, za życia jeszcze Zygmunta Augusta miał sobie powierzone archiwum królewskie. Rozczytał się też w przeszłości naszej, zrozumiał zło, jakie nurtowało spajane z takim trudem przez Zygmunta Augusta państwo — zrozumiał zbyt wielmożnienie się panów i pragnął stworzyć rzeczpospolitą na innym zgola żywiole opartą. Jako starosta bełzki, z rodu, który dotąd niczem nie zastąpił, zaledwie cierpiany był przez panów; chętnie byliby go sobie lekceważyli, gdyby nie wysoka nauka i przyrodzony rozum Zamoyskiego, który nakazywał uszanowanie:

NASZ KWESTYONARYUSZ.

(Dalszy ciąg).

Innne upodobania zdradza pisząca jeszcze na dwóch liniach *Abkusia*. Po skończeniu nauk chciała by zamieszkać w mieście, aby uczęszczać do szkoły muzycznej. Była parę razy w Kijowie na koncertach symfonicznych i na koncercie Namysłowskiego. Muzyka sprawia na niej wielkie wrażenie, zwłaszcza smutna i melodyjna. Po skończeniu nauk chciałyby uczyć biedne dzieci, co już potrochu w najbliższym otoczeniu w czyn wprowadza. W lecie oddaje się z zamiłowaniem konnej jeździe, dotąd jeździła na męskim siodle, ale rodzice obiecali jej na te wakacje kupić damskie. Ze wstydem przyznaje, że robótek wcale nie lubi i czasem tylko, gdy trzeba coś uszyć dla służby lub jakiego ubogiego dziecka, prze-maga swój wstręt do igły. Najwięcej podobają się jej powieści Kraszewskiego i Sienkiewicza, zwłaszcza ostatniego, bo są według jej zdania „barwniejsze i nie tak rozwlekłe.” Największe wrażenie z poezji wywołał na niej „Janko Cmentarnik,” gdyż głęboko odczuła jego cierpienia. Nad inne nauki przekłada geografę i historię.

Trzynastoletnia *Wiosenka* ma bardzo szeroki zakres pragnień, widocznie mierzy „siły na zamiary, nie zamiar według sił”, chce zbadać umiejętności gospodarskie, rok spędzić w Chyliczkach, chce dalej uczyć się kreślenia planów budowlanych, aby pomagać ojcu, który jest architektem, i teraz już nawet „probuje wykombinować jaki plan” dowodząc, że jej się to nieźle udaje. Dla własnej przyjemności chce „zostać przyrodniczką” czytać dużo dzieł w tym kierunku, hodować rośliny i drzewa w ogrodzie a rozmaite stworzenia w *terrarium*. Ideałem jej — życie domowe, z czasem chce uczyć malutką obecnie siostrzyczkę,



P A R K A .

Jestem sobie, jestem,
Wesoła dziewczucha.
Słucham ojca, matki,
Mnie Krasula słucha.

Krasula pocziwa,
Krasula kochana.
Pasę ją na łące
Od samego rana.

Nie mam z nią kłopotu
Ani żadnej troski,
To najlepsza krówka
Z całej naszej wioski.

Kiedy sobie podję,
To się wnet położy,
A ja mogę patrzeć
Na piękny świat Boży.

a swoją chrześną córeczkę. Największą dla niej rozrywką bywać na koncertach i operach, chciałyby też poświecić się muzyce, grać artystycznie, śpiewać i występować na estradzie.

Czy to nie za wiele, *Wiosenka*: gospodarstwo, i przyroda, i sztuka. Lepiej obrać sobie jedną niwę, wtedy uprawia się ją z pożytkiem większym, niż ogarniając tyle przedmiotów. Słusznie powiada francuskie przysłowie: *Qui trop embrasse, mal étirent*. *Jaskółka* radzi *Wiosence*, aby wniknęła w siebie i zbadała do czego ma największy pociąg i szła wytrwale w tym kierunku, to ją ustrzeże od tak zwanego *dyletantyzmu* t. j. powierzchownego zaznajamiania się z wieloma przedmiotami. Ale trzeba i pochwalić *Wiosenkę*: myśli o czynieniu dobrze w najbliższym kółku.

Pełną ujmującej prostoty jest odpowiedź *Zochny z nad Peltwi*. Ma rok czternasty, ukończyła 7-ą klasę w lwowskiej szkole wydziałowej. Ojciec ją odumart, matka musi pracować dla utrzymania rodziny. *Zochna* pragnie uczyć się, aby mózdz przyjsć jej z pomocą

Złota Różyczka ma zamiłowania rycerskie, lubuje się w opisach turniejów i bitew.

Śmieszka pragnie pomagać ubogim, szyjąc im odzież.

Kurpianka, po ukończeniu nauk chciałyby się uczyć malarstwa, podróżować po kraju i zagranicą, a nawet po innych częściach świata. Nie lubi robótek i zajęć domowych, najmiłszą jej rozrywką gimnastyka. Zachwyca ją życie *Joanny d'Arc* i wzbudza w niej chęć kroczenia śladami bohaterki. Nie zapominaj jednak, *Kurpianko*, o słowach poety, które sama przytaczasz:

„Czyni każdy w swem kółku, jak każe Duch Boży, a całość sama się złoży.”

Jadwiaga I., gdyby była bogata, budowałaby po miastach domy dla ubogich wyrobników, a ich dzieci wysyłałaby latem na wieś. Choć bogatą nie jest, może czynić drugim dobrze, wedle możliwości. *Jaskółka* pewną jest, że tego nie zaniecha.

Piotrkowianka chciałyby zwiedzać piękne kraje, lubi śpiew, malarstwo, ale niemniej ślizgawkę i opisy podróży.

Roksolanka przyznaje się, że robótek nie lubi, dlatego zapewne, że się ich nie uczyła. Ma jednak widocznie zamiłowania praktyczne, bo chciałyby spędzić rok w Kuźnicach, w zakładzie gospodarskim hr. *Zamoyskiej*.

Halszka z Permu chce pomagać rodzicom, poświęcać się dla bliźnich, pielęgnować chorych.

Ewcia H. wybiera zawód fotograficzny, gdyż bardzo lubi rysować, a do zajęć domowych niema żadnej skłonności. Rysunki są także ulubioną rozrywką i zajęciem *Jadwigi Jan.*, list swój ozdobiła nawet paru ładnie przerysowanymi winiętkami. Chciałyby poświęcić się malarstwu, ale przyznaje słuszność mamie, iż trzeba się nauczyć czegoś praktycznego w razie gdyby talent zawiódł, i zapewne będzie się kształciła na buchalterkę. Tymczasem długa suknia jest celem jej marzeń, lubi robótki, szczególnie *froeblovskie*.

Skowronek pragnie, po ukończeniu nauk, zająć się pszczelnictwem, ogrodnictwem lub mleczarstwem. *Mieszka* na wsi, uczy się w domu, ma lat 13½.

Rusalka z nad Szczary przyznaje z całą szczerością, że po ukończeniu nauk nie od razu pragnie zabrać się do pracy, ale wpierw chciałyby użyć rozrywki — marzy o pięknych sukniach, o balach, gdyż bardzo lubi tańczyć. (Niema w tem nic złego). Potem myśli wyuczyć się ogrodnictwa, szczepić najlepsze gatunki owoców. Gdyby miała dużo pieniędzy, zwiedziłaby Włochy, Szwajcaryę i piękne okolice *Ojcowa* (tę podróż może chyba skutecznie małym kosztem, a warto), pojechałaby także do Paryża i Nizy, wyuczyłaby się koniecznie malarstwa i malowała piękne okolice zwiedzanych krajów. Zanim to nastąpi, chce prosić tatuzia, aby jej kupił siodło i będzie jeździła po polach i lasach. Pragnie założyć szkołę dla ubogich dzieci i na Boże Narodzenie urządzić im choinkę, bo, jak powiada, niema większego zadowolenia, jak sprawić komuś radość. Trzymajże się tej zasady w całym twem życiu, kochana *Rusalko*, a będziesz prawdziwie szczęśliwą.

(d. n.)



Maks Semberton.

Pałac w głębi oceanu.

(Dalszy ciąg).

Całe popołudnie spędziliśmy, drzemiąc i rozmyślając na przemian. Od czasu do czasu dochodziły nas z góry głosy ludzkie, a nieustannie słyszeliśmy ryk morza, które nawet w czasie ciszy jęczy i szumi jak dusza potępiona. Zdawało mi się chwilami, że jestem małym robaczkiem, który się wgryzł w skałę, tak przygnębiające wrażenie robiła na mnie cała nasza przygoda.

O dziesiątej uciszyło się na górze, a zato ocean szumiał coraz mocniej, sądziłem przeto, że ryk ten zagłuszy szelest moich kroków.

— Pójdę do Czernego, rzekłem do towarzyszy, nagadam mu dobrze, ale nie lękajcie się: nie dam unieść się oburzeniu będę przemawiał rozsądnie, bo przecież życie nas wszystkich od niego zależy. Jeślibym jednak nie wrócił, to znaczyć będzie, że nie mogę wrócić. Dobranoc wam, bracia, wiele mórz przepłynęliśmy razem i da Bóg odbędziemy razem jeszcze niejedną podróż, dobranoc!

Scisnęliśmy sobie ręce, potem wszedłem na drabinę, podniosłem drzwi i znalazłem się w domu Edmunda Czerny.

Podnosząc drzwi byłem pewny, że wejść do jakiegoś pokoju, może do kuchni, że spotkam ludzi, którzy mnie natychmiast porwą i zaprowadzą do pana. Tymczasem znalazłem się w wielkiej okrągłej pieczarze, oświetlonej elektrycznymi lampkami, zupełnie puste; dokoła w ścianach były wielkie nierówne otwory, pozastłaniane w miejscu drzwi skórzanymi frankami. Słychać było głosy ludzkie, wychodzące z jednego z pokoi, lecz nie mogłem dojść, skąd pochodziły.

Długi czas stałem na miejscu, nie wiedząc co począć. Nakoniec wsunęłem głowę między fałdy pierwszej z brzoza zasłony, lecz cofnąłem ją jeszcze prędzej. Ujrzałem tam ludzi prawie bez odzienia, kręących się koło rozpalonego pieca; jaskrawe światło czyniło ich podobnymi do czerwonych dyabłów. Przekonałem się niebawem, do czego służył ów piec, gdyż prawie w tej samej chwili jeden z ludzi wydał rozkaz, puszczo no w ruch maszynę, i usłyszałem szelest wachlarzy i odgłos pompy. Aha! pomyślałem pompując z góry powietrze.

Nikt mnie nie zobaczył, gdyż wszyscy zajęci byli, cofnąłem się cicho, natknąłem na drzwi, których przed tem nie dostrzegłem. Były to właściwie nie drzwi, lecz przejście wykute w skałę, w głębi dostrzegłem schody, prowadzące na górę i również oświetlone elektrycznymi lampami. Nie wątpiłem, że Czerny zajmuje wyższą część jaskini, wszedłem więc na schody bez wahania i znalazłem się w tak wspaniale urządzonej korytarzu, że w innych warunkach oglądałbym go z ciekawością. Na wszystkie strony pełno było lamp, wiszących, stojących, rozmaitego kształtu a wszystkie z kutego żelaza. Po obu stronach ścian otwierały się drzwi do pokoi, po którym snuli się ludzie. Widziałem porozkładane stoły do gry, na ziemi pełno butelek; niektórzy gracze kłócili się; inni oparci na łokciach zdawali się drzemać, inni chrapali uśpieni, wstępnym to był widok.

Dalej były kuchnie i rozmaite warsztaty. Od czasu do czasu spotykałem ludzi na korytarzu, a wtedy cofałem się w ciemny kąt, aby mnie nie dostrze-

gli: lecz oni nie zwracali uwagi na moją obecność, gdyż byłem ubrany jak każdy z nich, a trudno znać z powierzchowności stu lub więcej ludzi, stanowiących załogę, a raczej bandę korsarzy. Zauważyłem więc, że byłem bezpieczniejszy z powodu ich wielkiej ilości, niż gdyby była tylko mała garstka.

Najpierw trzeba znaleźć Czernego i z nim się rozmówić, a potem dopiero będę rozmyślał, co dalej czynić.

W ten sposób dodałem sobie otuchy, i szedłem naprzód już znacznie uspokojony. W końcu korytarza znalazłem żelazne drzwi, zamknięte i zaryglowane. Nie było bocznego przejścia i nie wiedziałem, w jaki sposób drzwi się otwierają. Stałem więc w niepewności, co czynić, podobny do posłańca, który znajduje dom pusty, a nie chce odejść. Wiedziałem, że dziś muszę zobaczyć Czernego, nawet wtedy gdybym musiał udać się do korsarzy, których rozmowa dolatywała mnie z daleka. Nie przyszło mi do głowy zastukać, stałem rozmyślając, że ważą się teraz nasze losy, gdy nagle drzwi się rozwarły i wyszła z nich mała Rozamunda. Zdziwiła się niezmiernie, widząc mnie przed sobą, krzyknęła nawet cichutko, ale opanowała wzruszenie i zaczęła mówić prędko.

— Co pan tu robi? Po co pan tu przyszedł?

— Moje dziecko, po bardzo wiele rzeczy. Ale najpierw powiedz mi, co jest za temi drzwiami, skąd przychodzisz? Powiedz szczerze, a wierz mi, że oddasz nam wielką usługę.

Dziewczynka nie zaraz odpowiedziała, lecz za dała mi znów pytanie.

— A gdzie reszta, dlaczego pan sam przyszedł, gdzie jest ten chłopczyk?

— Dolly Ven? Nic mu się złego nie stało: został razem z innymi w piwnicy na dole, za salą machin. Pokaż mi drogę do pokoju pana Czerny, to niedługo wszyscy się znowu zgromadzimy; pan Czerny tu mieszka naprawdę?

Powoli dowiedziałem się, że mieszkanie jego leżało po drugiej stronie olbrzymiej halli, lecz dziewczynka wydała się tak przerażona myślą, że chce tam wejść, że zapytałem niespokojny:

— Gdzie jest ten twój stary przyjaciel, Clair-de-lune?

Twarzyczka jej zbladła mocno i odrzekła drżącym głosem:

— O! panie Beggs, pan Czerny ukarał Clair-de-lune za to, że pomagał wam na wyspie. Nie wolno mu teraz wychodzić z pokoju, a pan się bardzo gniewa i nie chce go wcale widzieć. I pan tu przychodzi, co się z wami stanie!

— Nic złego, moje dziecko, da Bóg wyjdziemy cało z tej przygody, i możesz być pewna, że nie zapomnę o starym poczciwym przyjacielu. Na moją wdzięczność może liczyć. Wskaż mi tylko drogę do mieszkania Czernego, a sama biegnij prędko i opowiedz moim towarzyszom, coś widziała. Dowiedzenia moje dziecko.

Rozamunda stała przez chwilę niepewna, co czynić; nareszcie ocknęła się z zamyślenia i rzekła cichutko.

— Benno Regnarte stoi na straży, ale teraz odszedł właśnie na kolację. Wzięłam od niego klucz i weszłam tutaj. Benno pozwoli panu przejść spokojnie. Co się tyczy pana Czerny, to nie wiem, gdzie on jest teraz. Może na Yachcie, a może w swoim pokoju. Co za nierozwaga, kapitanie, on pana nigdy nie wypuści.

— To znaczy, że mu się bardzo podobam. Zobaczymy, moja mała. Teraz biegnij a mnie zostaw tu samego. Marynarze dają sobie radę tam, gdzie inni ludzie giną. Sprobujmy w imię Boże.

Żał mi jej było, widząc, że jest tak wystraszona,

ale cóż miałem robić? Miałem do wyboru Czernego, albo śmierć, wybrałem Czernego.

Otworzyła drzwi i wpuściła mnie do mieszkania herszta korsarzy, przeszedłem próg i znalazłem się w olbrzymiej halli. W połowie wysokości otaczała ją piękna galerya z pięknie rzeźbioną balustradą, od której jak w jakiej świątyni zwieszały się lampy elektryczne, a podobieństwo to potęgowały jeszcze olbrzymie organy, stojące w głębokiej niszy. Naprzeciwko organów ujrzałem wielki komin, naokoło w ścianach mnóstwo drzwi mechanicznych. W sklepieniu zaś olbrzymie okna oprawne w mosiądz, nad którymi przelewało się morze i biała piana. Na ziemi leżały cienkie maty, kosztowne meble były rozstawione dokoła i w pierwszej chwili nie mogło mi się pomieścić w głowie, że tak wspaniałe, prawdziwie królewskie mieszkanie znajduje się w pobliżu dzięki wyspy pod falami oceanu Spokojnego. A jednak morze szumiało nad moją głową a przez uchylone drzwi ujrzałem moją panią, Maryą Bellenden.

(d. c. n.)

Nasze konkursy 11-go półrocza.



Cóż to? czy i w czasie wakacji „Wieczory” chcą nas do roboty zasadzić?

— Ej! nie straszna to robota, a wakacje długie! Znamy dobrze naszych czytelników i to oddawna, wiemy, że licznie i z ochotą stają zawsze do tych konkursów, a panienki z zapałem zabierają się do robótek ręcznych, których plon ubiera i ogrzewa potem ubogą działość tego wielkiego miasta, w którym skupia się obok ognisk wiedzy, sztuki, handlu i przemysłu tyle biedy i troski o byt. A więc do dzieła! Ogłaszamy dwa konkursy z nagrodami.

I. Konkurs na wypracowania dla wszystkich czytelników i czytelniczek „Wieczorów”

Temat 1-y. Podać w formie opowiadania lub dialogu, prozą lub wierszem, stylem poprawnym i możliwie barwnym opis jakiegoś czynu, który uważamy za najszlachetniejszy i najbardziej godny uznania. Wiadomość o takim czynie może być zaczerpnięta bądź z życia współczesnego, (czyn, o którym słyszeliśmy w naszym otoczeniu lub którego byliśmy świadkami,) bądź z historii lub literatury. Pożądanem jest wyjaśnienie powodów, dla których go tak wysoko cenimy. Wypracowanie może być ozdobione **rysunkami lub winietami.**

Temat 2-gi dla dzieci do roku 10-go włącznie. Opisać własnymi słowy treść komedyjki „Prima-Aprilis,” drukowanej w dodatku N-ru 13 Wieczorów r. b.

N. B. Nie mamy nic przeciw zasięgnięciu rad przy obmyśleniu wypracowań, lecz prosimy, aby były pisane bez pomocy i poprawek starszych, przytem wyraźnie i porządnie na jednej stronie kartki.

Termin nadsyłania wypracowań 1 Września r. b.

II. Konkurs na roboty ręczne dla pańienek.

Jak zwykle, w tym konkursie nie idzie nam o jakieś wyszukane roboty z drogich materiałów, lecz o proste i zwyczajne, które nie powinny być obce żadnej kobiecie, byle staranie i z pewną umiejętnością wykonane. Ze względu zaś, że przysłane rzeczy będą przed świętami Bożego Narodzenia rozdane ubogiej działości, ochronkom i zakładom dobroczynnym a więc zastosowane do ich potrzeb, ogłaszamy konkurs na trzy rodzaje robót.

1) **Bieliznę dziecięcą,** 2) **Sukienki i ubranka.**

3) **Roboty włóczkowe** (kaftaniki, spódniczki i t. p.) Nadto biegłejsze i wprawnejsze panienki mogą przy-

ślać na konkurs próby swej umiejętności w wykonywaniu trudniejszych i zbyt kowniejszych robót, jako to **haftów, koronek, wyszywania oraz rysunków.**

Tylko przy skrajaniu pomoc starszych jest dozwolona.

Termin nadsyłania robót — 15 października r. b.

Warunki dotyczące obu konkursów. Za najlepsze wypracowania i roboty ręczne redakcja udzieli pewną ilość nagród przeważnie w nowszych powieściach dla młodzieży.

Przy każdym wypracowaniu należy podać imię, nazwisko, wiek (rok 10-y; 11-y; i t. p.), adres, i te same wiadomości wypisać na kartkach i przyszyć je do każdej sztuki przysłanej roboty, kto w sprawozdaniu nie chce być ogłoszony z nazwiska, niech doda pseudonym.

Na kopertach z wypracowaniami trzeba notować z boku: **wypracowanie** i do tych kopert żadnych listów z żądaniami, czy zapytaniami nie dołączać, gdyż będą otwarte dopiero po 1-y września. Listy niedostatecznie frankowane przyjmowane nie będą.

Z powodu trudności przy odbieraniu posyłek zagranicznych, prosimy czytelniczki nasze, aby roboty ręczne przysyłały tylko przez okazy; wypracowania mogą być wysyłane pocztą.

Adres. Warszawa Mazowiecka 10, „Wieczory Rodzinne.”



ZE ŚWIATA.

Wystawa sportowa i balon na uwiezi. Na Dynasach, w pawilonach i ogrodach towarzystwa cyklistów urządzono na rzecz Towarzystwa Dobroczynności bardzo zajmującą i poniekąd pouczającą wystawę, która i naszych czytelników niewątpliwie pociągnie. W obecnych czasach przekonano się, że wszelkie ćwiczenia fizyczne są nie tylko przyjemną rozrywką ale pożytecznem dla wyrobienia tężyzny fizycznej i duchowej zajęciem, o ile naturalnie nie przekraczają pewnych granic umiarkowania i nie odrywają od nauki; pracy obowiązkowej. Stąd powstały rozmaite rodzaje tak zwanych sportów i różne przyrządy i narzędzia, których one wymagają.

Na wystawie sportowej zebrano właśnie te wszystkie przedmioty i okazy sportowe, poczynawszy od przyrządów gimnastycznych, hantli, ciężarów i t. p. aż do rowerów i samochodów. Każdy więc może znaleźć tam dział, który go bardziej interesuje.

Przy wystawie a raczej nad wystawą buja wielki balon na uwiezi, który wznosi się na linie do dość znacznej wysokości, a potem bywa ściągany na dół. Przejazdówka tym balonem pozwala bez niebezpieczeństwa użyć wrażeń żeglugi napowietrznej i rozkoszować się panoramą Warszawy i Pragi, szeroką wstęgą Wisły rozdzieloną na dwoje. Jeśli kto z czytelników naszych spróbuje tej jazdy, niech się podzieli z nami swemi wrażeniami.

Nie mówi człowiek. Przeciętny człowiek mówi w zwykłych warunkach 3 godziny na dobę, jeśli skupić w jeden ciąg to co wypowiada w różnych chwilach. Ponieważ wypowiada na minutę około 100 wyrazów, więc w ciągu godziny wyrzuca z siebie 6000 wyrazów, t. j. ile zawiera 19 stronice książki średniego formatu w ósemce. W ciągu roku wypowie

Do pow. „Palac w głębi oceanu.”



Rozamunda otworzyła drzwi (str. 207).

słów, starczących na jakie 50 tomów. Kobiety mówią więcej i prędzej, więc wypowiadają około 60 tomów.

Czworoński Ptak. Z południowej Ameryki donoszą, iż jeden z tamtejszych badaczy natury, na brzegach wyspy Maraja, leżącej między dwoma ujściami rzeki Amazonki napotkał ptaka w nieznanym dotychczas rodzaju. Pierzaste stworzenie podczas pierwszych trzech lat swego życia nie ma wcale skrzydeł, w miejsce ich jednak ma cztery nogi. O ile amerykański przyrodnik mógł dotychczas zbadać, po trzech do czterech lat dwie nogi stają się coraz krótsze, wreszcie przetwarzają się w parę skrzydeł. Ptak ten ma ładne kolorowe upierzenie i podobny jest do bażanta. Można go widzieć często unoszącego się nad powierzchnią wody, albo spoczywającego na liściach anigi, pięknej rośliny morskiej. Mieszkańcy tamtejsi zowią tego szczególnego ptaka „Cigune”. Wiadomość ta wymaga jeszcze potwierdzenia.

Siedmioletnia wybawczyni. Było to w Czechach w grudniu roku zeszłego. Gromadka dzieci w wieku od lat 6 do 8 wracała ze szkoły, brzegiem rzeki. Właśnie spadł

śnieg i mróz wziął niewielki, dzieci zaczęły strącać nogami grudki zmarzłego śniegu do rzeki, gdy nagle jednemu z nich Waciowi Wohemu pośliznęła się noga i wpadł do wody. Utonąłby niechybnie zaraz, ale zdołał się schwycić rękami o brzeg i na chwilę zatrzymać. Wszystkie dzieci pierzchły z krzykiem: Wacio wpadł do rzeki! Tylko siedmioletnia Jadwisia Geislerówna nie straciła przytomności. Położyła się na brzegu i pochwyciła ręce Wacia, aby utrzymać go w tej wiśzącej pozycji. Pomoc rychło nadbiegła i mały Wacio dzięki swej rówieśnicy wykreślił się katarą od groźnego niebezpieczeństwa. Co to jest przytomność umysłu!

SZARADA.

*Pierwszego w rzek poszukaj lub przyimków rzedzie,
Drugie trzecie kierunek co w drodze złym będzie,
A twarz taka niemiła bywa u człowieka;
Wszystko, każdy skwapliwie omija z daleka.
Bo wielkością nie wabi a jadem strach budzi,
Choć mieści w sobie włókna dla pożytku ludzi.*

Łamigłówka bez samogłosek.

uł. Szara Muszelka.

Ch.sz b.ć cz.mś w św..c.. t. s.. .cz
.b.ś n.. zg.n.ł w tł.m..
N..k. d. p.t.g. kl.cz
W t.m m.c któ w.c.e.j .m..

B. w.dz. n.. p.pchn. t.g. wst.cz
.n. p.chł.n. f.l.
Kt. .m.. ch.ćb. j.dn. rz.cz
L.cz .m.. d.sk.n.l.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Szarady: La — wi — na.

Arytmogryfu;

	O	D	a
	L	u	z
L	a	r	i
	A	t	e
		a	c
			i
		a	k
		l	d
L	a	m	p
		H	a
		N	a
B	a	t	a
		T	u
			b
			G
		M	a
			m
			a
			n
		B	u
			t
			a
			n

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Szkoła Główna (z ryc.) — Błękitna wstęga, powieść z XVI wieku, przez Z. Morawską. — Nasz kwestyonaryusz. — Pasterka, wiersz (z ryc.) — Pałac w głębi oceanu, przez Maksa Pembertona (z ryc.) — Nasze konkursy II-go półroczna. — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Proszona herbata, wiersz przez Zofię Wł. Zacharkiewiczównę. — Leonek Lwie serce. — Zagadki babuni. — Zapytania i odpowiedzi. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Spełnione marzenia, powieść dla młodzieży przez Irenę Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 2 Іюня 1903 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Batłńska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

Proszona herbata.

U Janki dzisiaj proszona herbata.
Jest lalka Lili, wdzięczna marzycielka,
Co zawsze myślą po obłokach lata,
Obca jej zda się ziemską sprawą wszelka.
Mówi, że nic jej nie trzeba od świata,
Jednak ze smakiem spożyła serdelka,
Teraz ciasteczko herbatą popija,
Szttywna, jak gdyby wnet połknęła kija.

Jest lalka Tola, strojnisia wytworna,
Do kapelusza pomponik przypięła.
Ufryzowana grzywka niepokorna
O całe piętrowo nad czołem się wspięła.
Jest wreszcie Jadzia, skromna, niepozorna;
W głębokie krzesło cała się wsunęła.
Jance najmiłszą z nią bywa rozmowa,
Lecz im nie dają tamte przyjść do słowa.

Lila zajada i o gwiazdkach prawi,
Tola wychwala swój kapelusz nowy,
Mówi, że jeszcze wiosenny poprawi,
I że ma trzeci fason już gotowy.
Jadzia myśli: Oto co je bawi,
Więc się nie miesza wcale do rozmowy.
Gospośia słucha znudzona potrosze
I szepcze: tych dwóch nigdy nie poproszę.
Zofia Wł. Zacharkiewiczówna.



Leonek Lwie-Serce.

(Dokończenie).

Dobrze, niech Jan idzie, to prędzej wróć.
Leonek spodziewał się, że lada chwila nadjadą rodzice lub wróć dzieci z Greendell, zadumał się o jutrzejszym odjeździe Edwardka, o tem, że za dwa dni trzeba iść do szkoły, a przed tem powtórzyć niemiłą tabliczkę mnożenia, po chwili wskutek nazbyt obfitego podwieczorku uczuł pewną ociężałość; błogie ciepło kominka rozmarzyło go, i bohater nasz smacznie zasnął w fotelu. Sen miał niespokojny: śniło mu się, że nauczyciel z wymierzoną w jego piersi fuzyą pyta go groźnym głosem — powiedz, żarłoku, ile jest 7 razy 9, bo jeśli nie powiesz, zginąć musisz. On drży ze strachu i poci się, ażeby się nie omylić boi się odpowiedzieć. To znów lwy zwabione zapachem pudingu rzucają się na Leonka, on uciekając przed niemi, wpada do jaskini bandytów. Naraz ktoś

silnie zapukał do drzwi, Leonek obudził się, ciemno było dokoła a dogasający ogień wywołał tysiące cieniów skaczących po ścianach pokoju, rozespany chłopczyk wziął to za oczywiste postacie, zaczął krzyczeć jak szalony i biegać po pokoju, postacie zaś zdawały się go ścigać. Wskutek jego krzyków stukanie z zewnątrz było coraz silniejsze, czem oszalały z przestachu Leonek zaczął nieludzkim głosem wołać ratunku, a chcąc się ukryć przed ścigającymi go nieprzyjaciółmi, otworzył dolną szafkę kredensu i chciał się tam wpakować, lecz potłukł tylko sporo porcelany i w żaden sposób zmieścić się tam nie mógł. Koło domu zaś na krzyki jego zbiegł się tłum ludzi, zjawił się policyant jeden i drugi, chcieli już drzwi wyłamać, aby pospieszyć mu z pomocą, gdy w tej chwili przybyli państwo K. Przerażeni tem wszystkim, co zastali, nie mogli pojąć, co się Leonkowi stało.

Gdy pan K. nareszcie klucz odnalazł i drzwi otworzył, policyant oświecił latarką pokój, ujrzeni nogi Leonka wyglądające z kredensu i ani śladu ja-

kiegoś niebezpieczeństwa. Pani K. wbiegła za mężem i zaledwie zawołać zdołała.

— Leonku, co tobie dziecko?

Nie było odpowiedzi, pan K. prędko otworzył kredens, wydobył stamtąd czerwonego z wysiłku, a teraz pewnie i ze wstydu bohatera naszego, a zobaczywszy, że cały i zdrowy, rzekł doń surowo.

— Co ty wyprawiasz, mój chłopcze?

Pojmiecie, kochani czytelnicy, że Leonek w tej chwili radby się był pod ziemię schować ze wstydu, lecz wszelka popełniona przez nas niedoręczność, przez nas samych odpokutowana być musi. Chłopiec spuścił głowę i zaczął całować ręce matki, witając ją i przeprasząc zarazem. Pan K. podziękował policyantom za pomoc, ci wyszli ze śmiechem i kazali ciekawym rozejść się. Zapalono światło, rzecz cała się wyjaśniła, pukającą do drzwi osobą była powracająca kucharka, która lekko zastukała, lecz tego drzemiący Leonek nie słyszał, więc głośniejsze stuknięcie co tak chłopca wystraszyło. Ojciec surowo zgromił syna, mówiąc, że w obec takiego dowodu męstwa, nie może mieć chyba pretensyi do bohaterstwa.

Biedna Elżunia wyrzucała sobie, że brata samego zostawiła w domu, i w skutek przebytych wrażeń dostała w nocy gorączki, która jednak po kilku dniach szczęśliwie przeszła.

Leonek od tego niemiłego zdarzenia stał się cichszym i rozsądniejszym, ale przygoda jego niestety dostała się do szkoły i koledzy przez żarty dali mu przydomek Leonek-Lwie serce.

Marja Strebejkowa.



ZAGADKI BABUNI.

IV.

Co to tak moich kochanych wnuków dziś nie widać — myśli babunia, chodząc po pokoju i nasłuchując, czy nie posłyszysz drobnych ich kroków i wesołych głosów. — Już przeszło kwadrans po szóstej, a ich nie widać, czyżby dziś nie przyszli?

A tu właśnie jakby na zaprzeczenie tych domysłów, ktoś tam drepce pomalutku — a później cieniutki głosik:

— Babuniu, otwórz mi, babuniu! — woła.

Babunia nie może prędko chodzić, ale dziś w jednej chwili jest przy drzwiach, otwiera i widzi Zygmuś, który wspina się na paluszki, by rączką dosięgnąć klamki. Od tego wysiłku cały jest czerwony, oczy mu się śmieją.

— Za tydzień babuniu już do klamki dostanę, i sam sobie otworzę, zobaczysz.

— Dobrze kochanku, ale dlaczego sam przyszedłeś, czy drudzy nie przyjdą?

— Przyjdą, tylko jeszcze kończą podwieczorek, ja się pośpieszyłem i nie chciałem czekać.

— No to chodź, pieszczosku, opowiedz babuni, dla czego to dzisiaj dali wam tak późno podwieczorek.

Zygmuś począł opowiadać o gościach, którzy przyszedli i siedzieli długo, o służącej, która zapomniała kupić bułeczek, i o tem jak ich ulubieniec Miluś zakradł się i wypił śmietankę, gdy właśnie inne dzieci nadeszły.

— Babuniu, jaki ten Zygmus niegrzeczny — zaczął Maryanek — nie chciał na nasz zaczekać, przyszedł sam i pewnie babunię nudził!

— Broń Boże, jest bardzo grzeczny i zadowolona jestem, że wcześniej przyszedł, bo mi się nudziło czekać.

— A tak dziś późno, więc żeby drogiego czasu nie tracić, zaczynamy — woła Hela — ja dziś zgadnę. Ale co?

— Dla ciebie Heluniu, wymyśliłam znów coś nowego, taki wyraz, który czytany czy od początku, czy od końca, znaczy jedno. Czytaj tak, albo wspak jedno przeczytasz.

— A to są takie wyrazy? nie wiedziałam.

— Są, ale ich jest bardzo mało, przeważnie jednosylabowe, bardzo łatwe do odgadnięcia, więc żeby Helunia musiała trochę główkę połamać, wybrałam dwusylabowy.

— Tak, ale skoro ten wyraz ma tylko jedno znaczenie, to jak będziemy go dzielili?

— Wcale dzielić nie będziemy, określać go możemy wszyscy razem.

— No, to dobrze, Helu uciekaj!

Dziewczynka wyszła, a że w rodzinie miała przydomek Ciekawskiej, bo wszystko musiała wiedzieć i wszystkiego dotknąć, więc przezorny Feluś, drzwi sąsiedniego pokoju zamknął na klamkę i stanął przy nich, by czasami nie przyszła jej ochota podsłuchiwać! Babunia nauczyła dzieci, jak mają odpowiadać, a gdy Hela wróciła, zaczął objaśnienie Maryanek.

— Zaraz z góry ci mówię, że to nie człowiek, nie zwierzę i nie kwiatek.

— I nie wyrób z mleka, jak to było dawniej — dodała Zochna — to nieszczęście, które ludzi spotkało.

— Nieszczęście, które ludzi spotyka, chcesz pewnie powiedzieć — poprawiła siostrę Hela — bo przecież chyba nie raz tylko.

— Właśnie, że raz.

— Jakto i tak przepadło, jak kamień w wodę, tylko raz przyszło do ludzi, a to ciekawe!

— Nie tak bardzo ciekawe, ile straszne, to było wprost okropne, a spuścił je Pan Bóg na ludzi, jako karę.

— Tak, tak — potakiwała Nacia — ale to przynajmniej dobrze, że to się już nigdy, nigdy nie powtórzy!

— A skąd wiesz, że nie?

— A bo się to nie uczyłam w Historii Świętej? przecież się taki znak pokazał na niebie, ale jak się to nazywa, taki kolorowy łuk?

I spojrzała na Maryanka, aby dopomógł jej pamięci, ale on tylko po ustach przeciągnął palec.

— Naci! przydałoby się trochę przyciąć tego długiego języczka, czegoż tak dużo mówisz?

Nacia rozdała się na ten niezbyt grzeczny żart braciszka, odwróciła się do ściany i zachmurzyła, a Hela zadowolona, że jej młodsza siostrzyczka ułatwiła odgadnięcie zagadki, bo swej główce nie bardzo ufała, zaraz się za nią ujęła.

— Ty, Maryanku, to tylko umiesz dokuczać, właśnie chcę, żeby Nacia mówiła. Naci, chodź, ja proszę, żebyś mi opowiadała. No, i co dalej?

A Nacia dobra dziewczynka, zapomniała już o gniewie, usłyszawszy tę zachętę Heli, mówiła dalej:

— Pan Bóg nie byłby tej kary spuścił na ludzi, żeby się byli poprawili, bo im zostawił bardzo dużo czasu, ale oni nie myśleli o poprawie, tylko grzeszyli ciągle... więc... Ale teraz to już niech kto inny powie.

Starsi milczeli, więc Zygmus zabrał głos.

— I padał deszcz tak długo, długo, przez czterdzieści dni i nocy i wszyscy się potopili, tylko Noe nie, bo siedział w arce.

Później przechylił na bok główkę, patrzył figlarnie, mrużył oczki i mówił:

— No, Heluniu, nie wiesz, co to było, czytała nam wczoraj panna Karolina.

— Ale wiem, wiem, braciszku, już dawno odgadłam, że to potop, tylko nie mogę sobie wystawić, żeby się to od końca tak samo czytało jak od początku.

— To spróbujcie napisać — rzekła babunia — a później przeczytajcie.

Dzieci chwyciły podany papier i ołówkę i zaczęły pisać — ogromnie się zdziwiły, że dotąd tego nie zauważyły i tak im było pilno powtórzyć tę zagadkę pannie Karolinie, że zaczęły spieszenie żegnać babunię, jakby się bały, że do jutra zapomną. Nawet Hela nie obejrzała książeczki z obrazkami, jaką dostała od babuni za odgadnięcie, tylko pobiegła za rodzeństwem i wołała:

— Naci, Zygmusiu, nie opowiadajcie beze mnie!

Babunia zamknawszy drzwi za uciekającymi, ogromnie była rada, że jej zagadki tak się wnukom podobały.



ZAPYTANIA I ODPOWIEDZI.

Jedna z naszych czytelniczek przesała nam pytanie następujące:

Czemu kwiaty zeschłe tracą swoją barwę?

Ponieważ odpowiedź na to pytanie może zainteresować innych naszych czytelników, podajemy obja-

śnienie drukowane, aby inni także korzystać z niego mogli.

W kwiatach, pomimo tak rozmaitych kolorów znajdują się tylko trzy barwniki: czerwony, niebieski i żółty.

Dwa pierwsze znajdują się w kwiatach w stanie płynnym: dopóki kwiat żyje i one nie zmieniają się wcale, lecz z chwilą jego zgonu barwniki rozkładają się i przez to tracą właściwy swój kolor, jednym słowem giną. Inaczej rzecz się ma z barwnikiem żółtym; jest to barwnik stały a nie płynny i choć kwiat zwiednie, straci wszelkie życie, barwnik nie zmienia się i dla tego kwiaty żółte nawet po ich wysuszeniu żółtymi pozostają, jak to niewątpliwie zauważyła nasza korespondentka.

Zielona barwa liści i łodyg pochodzi z drobniutkich kuleczek galaretowych, zawierających w sobie dwa barwniki: żółty i błękitny; kombinacja tych dwóch barw daje nam wrażenie barwy zielonej o czym przekonać się łatwo można, mieszając dwa powyżej wymienione kolory. Czerwony kolor połączony z żółtym daje pomarańczowy; czerwony z niebieskim fioletowy. Wszystkie znane nam barwy pochodzą jedynie z najrozmaitszych kombinacji trzech barw zwanych pierwotnymi: czerwonej, żółtej, błękitnej.

A kwiaty czarne? Nie ma ich,

A kwiaty białe? Jakież mają w sobie barwnik? Nie mają żadnego. Biały kolor nadają im jedynie drobniutkie pęcherzyki powietrza w tkankach kwiatu zawarte. Zgniećmy silnie w palcach białe płatki narcyzów, róży, lilji i t. d. a zostanie nam w ręku płatek przejrzysty, bez żadnej barwy, gdyż wyprowadzono zeń powietrze.

A. M.

Na wszelkie pytania (z dziedziny naukowej) naszych czytelników i czytelniczek z całą chęcią zawsze odpowiemy. W miarę nadsyłanych zapytań będziemy je umieszczali w Wieczorach, odpowiedzi podawać będziemy o parę tygodni później, gdyż mamy nadzieję, że sami nasi czytelnicy potrafią nie jedną z nich ułożyć i nam przesłać. Najtrafniejszą z odpowiedzi w piśmie naszym pomieścimy.

SZARADA.

Pierwsza hen płynie,
We włoskiej krainie,
Płyną drugie trzecie,
Mnóstwo ich na świecie.
Wszystkie to jagody,
Pełne ich ogrody.

Figiel arytmetyczny.

Napisać w 5-ciu cyfrach: jedenaście tysięcy, jedenaście setek i jedenaście jednostek.

ZAGADKA.

— Jakie też pokrewieństwo łączy panią z tym miłym uczniem, który stąd odszedł przed chwilą? — zagadnęła panią Jowialską jakaś dama, siedząca obok niej na ławce w Saskim Ogrodzie.

— Hm — odrzekła zapytana z uśmiechem. — Moja matka — jego matki była matką; a ta matka u swej matki była jedynaczką.

Jakież między nim było pokrewieństwo?

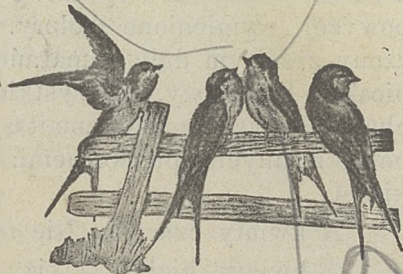
ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Zagadki: O k o.

Łamigłówki sylabowej.

- 1) Kraków. 2) Ubogi. 3) Nożyce. 4) Emanuel. 5) Gołąbki.
6) Ulubieniec. 7) Narcyz. 8) Dudek. 9) Ara.
Kunegunda — Wieliczka.

Skrzynka do listów.



Janowi Konradowi. Powieść „Mali Robinsonowie Skalni” drukowana przed paru laty w „Wieczorach,” której tak poszukujesz, miała wydać w osobnej książce księgarnia Gebethnera i Wolffa, ale zdaje się dotąd nie wydała jeszcze. Za życzenia dziękujemy.

Nieświadomemu. Sens słów Stefana Czarnieckiego: „Ja nie z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli urosłem” najlepiej wyjaśnia żywot tego wielkiego męża, który nie przez dostatki ani majątek, nie przez spokojną pracę około gospodarstwa, lecz przez ciągłe poświęcenie, narażanie życia, przez cierpienia i rany stał się chlubą swego kraju. Główka końska na karcie nieźle naszkicowana.

Rozwiązanie zadań oraz łamigłówek własnego układu nadesłali: Topolka, Czarny Sęk, Januś, Gucio 2., Staś z Łodzi, Halka z nad Teterowa, Janinka Serkowska.

Sprawozdanie z konkursu rysunkowego będzie ogłoszone za 2 tygodnie.

Dochodzą mnie zewsząd wiadomości o pomyślnych wynikach egzaminów. Radabym, aby wszyscy nasi czytelnicy przeszli do klas następnych z największym powodzeniem, ale ostrzegam, że ci których spotkało niepowodzenie, nie powinni się zbyt trapić i opadać na duchu, ale przeciwnie na rok następny wziąć się do pracy z tem większym zapałem, unikając powodów, które w tym roku przeszkadzały należytej nauce.

Jadwiśce z Grzybowa. Za różyczkę i kłos z niwy, przyjm Jaskółki dank życzliwy.

Witam **Topolkę** i jej pierwszy list, który mnie ujął swą szczerością. Wysoką być musisz na swój wiek, kiedy ci mamusia taki pseudonim wybrała. Zapewne, że życie na wsi ma dużo uroku, ale wierzę mi, i miasto zwłaszcza wielkie nie jest pozbawione mnóstwa stron dodatnich; zamiast natury, ogniskuje sztukę, literaturę i naukę. Zresztą i tu i tam można być pożytecznym i szczęśliwym.

Przyslij nam **Polko**, zagadkę w rodzaju o którym wspominaś, byle z czasów dawniejszych. Niech cię natchnie radość po egzaminach i pobyt w U. w gronie koleżanek. Słyszałam, że jest to bardzo przyjemna miejscowość. Ja wyfrunę za parę tygodni.

W istocie **Falo Morska**, myślałam, żeś popłynęła gdzieś daleko za powiewem wiatru, lub zamarzała i stanęłaś nieruchoma, aż tu otrzymuję list z takimi ważnymi wiadomościami. Pozdrawiam więc poważną; jak sądzę pilną uczennicę pensyi warszawskiej, a że trzeba było rozłączyć się z rodzicami i rodzeństwem, ze swym domem i gospodarstwem to drudno, taka kolej rzeczy, zato radość z powrotu na wakacje smutek sowiec wynagradza. Wilhelm Zdobywca, któremu za pamięć dziękujesz, dawno nie pisał.

Więc nie znalazłaś sobie jeszcze przyjaciółki **Cyganczko z nad Nidy** wśród tylu nowych koleżanek. Mieszkając w Krakowie, wiesz przecie, że nie od razu Kraków zbudowano, a i przyjaźń powoli budować potrzeba, tem wolniej, im dłużej ma przetrwać. Są zresztą usposobienia bardziej w sobie zamknięte, albo zbyt chwiejne i zmienne, które stosunki przyjaźni zawierają nader rzadko; jedno bo żądają za wiele, drugie nawet nie rozumieją przyjaźni, tylko chwilowe upodobania. Ja nie będę w Warszawie od połowy lipca do połowy września.

W tak ważnej chwili życia twego, jaką jest przystąpienie do pierwszej komunii przesyłam ci, **Sarmatko** najlepsze życzenia a przede wszystkim, aby jej podniosłe wrażenie zostało na zawsze w twojej pamięci wyryte. Widzę, że wakacje przejdą ci wesoło: gimnastyka, teatr amatorski, odwiedzanie krewnych i znajomych; nie starczy ci pewnie czasu wziąć udział w naszych konkursach.

Przyslij nam swój adres letni, **Halko z nad Teterowa**, a wnet otrzymasz żądany Nr. dodatku. Winszuję promocyj z pochwałą, która nad całymi wakacjami twemi roztoczy jasne światło zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku. Zdrowie moje już dobre.

Z przyjemnością przeczytałam całą wiązkę wiadomości od ciebie, kochana **Miri** i o dniu twych imienin i o egzaminach i o przyszłych wakacjach, które z siostrą i bratem spędzisz. Radziłabym ci w czasie wakacji zaglądać do książek szkolnych, aby wynagrodzić czas przez chorobę stracony. Łatwiej ci będzie później dopędzić koleżanki. Powieści historyczne autora, o którego zapytujesz, możesz już czytać; „korespondencję” piszemy przez jedno „r.”

Jerzemu Ż. Żądane polecenie, spełniłam.

wasza Jaskółka.

ŻARCIE.

—Mamusiu, w czasie zabawy jedno z nas wpadło do dołu po wapnie. Wszyscy się śmiali oprócz mnie.—To dobrze, Bołciu, że nie śmiesz się z cudzego wypadku. A które z was wpadło? A ja, proszę mamy!

OGŁOSZENIE.

Teatr marynetek. Chmielna Nr. 9. Rozpoczął przedstawienia nowej sztuki, **wiara, nadzieja i miłość.**

Od Redakcyi.

Przypominamy o wczesnem odnawianiu prenumeraty na kwartał III i półroczu II dla uniknięcia zwłoki w przesyłce pisma.